

Imponujący, rewelacyjnie napisany thriller.
Porywa od pierwszej do ostatniej strony.

ALEX MICHAELIDES, autor *Pacjentki*



[fragment książki](#)

1

Na horyzoncie zaśmieconym szczątkami starych, zardzewiałych sylwetek płonęły kłaczki szerniałych chmur. Byli sami.

– Znów coś rozpylają – mruknął farmer, kiedy wyruszyli. Potem już się nie odzywał.

A teraz w świetle latarek ujrzeli niską skarpe na skraju płytkiego strumienia przecinającego osuszone mokradła. Z trzcin porastających mulisty brzeg i wszystko dookoła niosło się granie świerszczy i śpiew trznadli.

– Gdzie to jest? – Alec drżał z zimna. Dochodziła siódma rano, a on zostawił kurtkę w radiowozie.

– Nie było tu ani jednej owcy – powiedział farmer, ignorując pytanie. Przeskoczył przez rów, poślizgnąwszy się lekko na pochyłości. – Zwykle lubią tu przychodzić.

Uśmiechnął się, widząc, że Alec patrzy niepewnie na błoto. Rumiane policzki, brudna siwa broda, gruba, impregnowana kurtka, ten głos – wyglądał jak obłąkany Święty Mikołaj.

– Nie upadnie pan – dodał. – Chyba nie boi się pan trochę ubrudzić?

– Nie. Tak. Mam tylko nadzieję, że nie tracę czasu. No i te muchy... – Alec strącił z podwiniętego rękawa tłuste paskudztwo, które usadowiło się we włoskach na przedramieniu. Rojące się wszędzie owady traktowały go jak żerowisko.

– Następnym razem niech pan włoży coś grubszego – poradził farmer.

Alec tylko się skrzywił. Cofnął się, sprężył, skoczył i ze zduszonym mlaśnięciem wylądował w samym środku gęstej, galaretowatej mazi. Ochlapał nogawki swoich czarnych spodni i dzinsy farmera.

Ten wymownie zacmokał.

– I na co nam przyszło, hę?

Alec chciał strzepać błoto z kostek, ale tylko jeszcze bardziej je rozmazał. I pobrudził ręce.

Farmer ruszył przed siebie.

Wskazał duży na wpół pusty zbiornik na wodę sześćdziesiąt metrów dalej. Na przezroczystym plastiku czas wymalował brudne plamy, lecz wciąż widać było cień uśmiechu w miejscu, gdzie chlupotała woda.

– Tam je znaleźliśmy. – Farmer spochmurniał.

Alec spojrział na zegarek. Sześć po siódmej.

Wkrótce wzejdzie słońce.

Poszli dalej, w ciszy zakłócaną jedynie brzęczeniem much i odległym pobekiwaniem zaniedbanych owiec w ciemności.

– Jean się wyprowadza. Słyszał pan?

– Kto?

– Jean... – Farmer zmarszczył brwi. – Ta z końca drogi. Sprzedaje farmę i się wyprowadza.

– A tak, Jean... Widziałem tablicę.

Alec przejeżdżał tamtędy w drodze na mokradła. Duża farma, dwa razy większa od tej, ziemia, zwierzęta i ludzie w dużo lepszym stanie. Nie znał Jean. Nie znał prawie nikogo z tej okolicy. Kolejny dowód na to, że tu nie przynależał.

– Wyprzedają się i jadą do rodziny – dodał farmer. – Przy najmniej tak mówią.

– Chyba widziałem ich kilka razy w mieście. – Dochodzili do zbiornika, do wodnego uśmiechu. – To oni robili

te przekąski? Pyszne: zmielona kiełbasa z cynamonem. Jadł pan? – Alec strząsnął muchę z twarzy.

– Nie. Jestem jarozsem.

– Naprawdę? Moja żona też przestała jeść mięso kilka lat temu i...

– Nie – powtórzył farmer i rozmowa ustała.

Świat wciąż tonął w półmroku, lecz już wkrótce miał pojaśnieć. Słońce prawie się uwolniło. Wstawał dzień.

* * *

Piętnaście metrów dalej mokradła ustąpiły miejsca świeżo zaoranemu polu, nierównemu i pokrytemu kopcami ziemi. Wszędzie wały się wapienne kamienie. Każdy następny krok był równie błotnisty i mokry jak poprzedni.

Jeszcze dalej, na skraju pola, biegło liche drucziane ogrodzenie pełne kłaków wełny, które ozdabiały je niczym lampki choinkowe w miejscach, gdzie próbowały sforsować je owce.

Ale owiec nie było. Nie było nic oprócz pozostawionych przez nie śladów.

– No i gdzie? – spytał Alec. – Nic tu...

– Tam. – Farmer wyciągnął rękę.

Alec spojrzał w dół. Przez chwilę widział jedynie ziemię.

– Tu nic...

Urwał. Omiótł ich powiew wiatru. Pod nogami coś za drżało.

Wyjął latarkę i poświecił. Niecały metr dalej leżał kłęb czarnych włosów, grubych, jedwabistych zwojów niemal takiego samego koloru jak otaczające je błoto.

Alec podszedł bliżej i ukląkł. Wytarł rękę w spodnie, sięgnął do kieszeni i wyjął rękawiczki. Chciał je włożyć jednym płynnym ruchem, lecz palce – lepkie, wilgotne po długim spacerze – przywarły do lateksu, zanim zdążył dobrze je wepchnąć. Musiał je wciskać milimetr po milimetrze, inaczej

nie mógłby dotknąć tych zimnych, czarnych kłębow. Cały czas na nie patrzył.

Chwyił pęk włosów i zaskoczyła go ich waga i szorstkość. Podniósł je wyżej i przesunął po nich dłonią, co chwilę zaciskając palce. Na dole, na końcu zwoju, wyczuł ciało i kość.

Ostrożnie położył włosy na ziemi. Słońce pięło się coraz wyżej. Było tam coś jeszcze.

Coś czarnego, o niemal plastikowym połysku, cienki półksiężyc zmatowiałego na krawędzi białka. Leżało i patrzyło ponad jego ramieniem.

Oko, duże smutne oko wystające z ziemi.

Alec wstał i cofnął się.

– Moja córka je znalazła – powiedział farmer. – W ogóle nie powinna tu przychodzić...

Alec poświecił latarką. Było ich więcej. Jedne zakopano blisko siebie, inne w oddaleniu. Krążył wokoło, aż znalazł wszystkie. Chodził tam i z powrotem, pokonał ze trzydzieści metrów.

Naliczył szesnaście głów. Każdą zagrzebano oddzielnie, każdej odsłonięto jedynie maleńki skrawek skóry, każda patrzyła w słońce tylko jednym okiem. Jedną zakopano nieco płycej i ta przynajmniej miała szyję. Trudno było powiedzieć, ile ciała kryło się pod powierzchnią ziemi.

Wszędzie roило się od śladów stóp – jego, farmera i bez wątpienia córki. Nie uprzedzono go. Nic o tym nie wiedział.

– Kto to mógł zrobić? – wychrypiał farmer i szybko zamrugał. – Kto mógł...

Alec gwałtownie podniósł wzrok i poczuł w gardle smak żółci. Niebo pojaśniało jeszcze bardziej. Czerwień szerzyła się jak pożar, błękitniały chmury. Chociaż w trzcinach wciąż darły się świerszcze i brzęczały muchy, po martwych oczach nie pełzał ani jeden owad. Jakby coś je odstraszało.

Kilkaset metrów dalej stał kamienny dom.

– Kto tam mieszka? – spytał Alec.

– Nikt.

Alec zmrużył oczy. Dom wyglądał jak samotnia.

– Widział pan kiedyś coś takiego? To jest...

Groteskowe.

Piękne.

– Nie. A pan?

Alec pokręcił głową, cofnął się i znów spojrział na włosy. Dopiero teraz dotarło do niego, że są to same ogony.

– To jest morderstwo – powiedział cicho farmer. – Niech pan tylko spojrzy. Niech pan spojrzy.

Tak naprawdę było to jedynie przestępstwo, celowe uszkodzenie mienia.

Jeśli uznasz, że coś nie jest człowiekiem, możesz zrobić niemal wszystko.

Alec znów zerknął na dom, ciemny, zimny i odległy.

– Czy zna pan kogoś, kto może chować do pana urazę? Kto mógłby chcieć zrobić panu krzywdę?

Farmer uśmiechnął się sztucznie.

– Nie licząc mojej żony? Nie, nie... Dogaduję się z ludźmi. Zawsze się dogadywałem. – Umilkł. – Co mam z tym zrobić?

– Trzeba wezwać weterynarza. – Alec wstał. – Jeśli się da, zrobić sekcję zwłok. Nie dotknę ich, dopóki nie dowiemy się czegoś więcej...

– Nie stać mnie na to.

– Nie będzie pan musiał nic...

– Poza tym ktoś je zakopał, prawda? Konie same się nie zakopują.

– A to błoto? Kiedyś było tu bagno, więc może... Nie wiem, może weszły tu jakoś i...

– Nie – uciął krótko farmer.

Alec spojrział w dół, na oczy. Gdyby nie to, że się nie poruszały, sprawiałyby wrażenie żywych.

Wyjął telefon, żeby zrobić kilka zdjęć. Na początek musiały wystarczyć.

– Niech pan nie wpuszcza tu innych zwierząt. Niech pan je gdzieś zamknie albo...

– A właściciel?

– Czego?

– Ich. – Farmer skrzywił się i machnął ręką. – Tego.

Alec spojrzał na głowy i podniósł wzrok.

– Trzymał je w pana stajni? Trzeba skontaktować się z...

– Nie. – Farmer odwrócił się. – Nie, nie, nie...

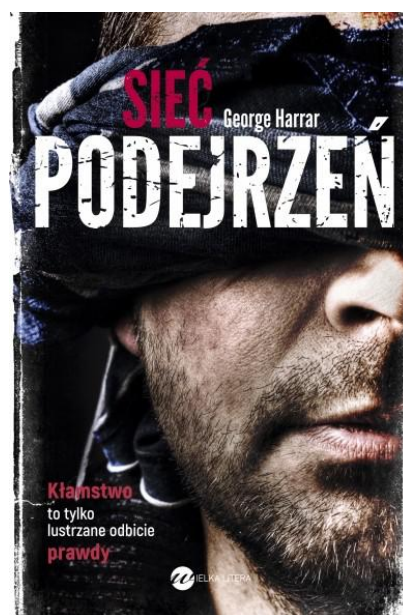
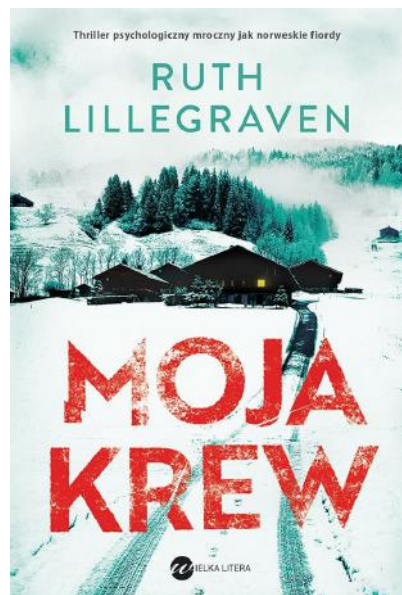
– Spokojnie. – Alec podszedł bliżej. – Ubezpieczenie na pewno to pokryje.

– Pan nie rozumie. Ja nie trzymam koni, nigdy nie trzymałem. Właśnie to próbowałem wytłumaczyć przez telefon tej dziewczynie...

Na brzegu oka wylądowała mucha.

– Nigdy w życiu ich nie widziałem.

Mogą Cię także zainteresować:



Zapraszamy na wielkalitera.pl